MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 10 WARSZAWA, 7 MARCA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

O WSPÓLNY JĘZYK

BARDZO znamienna scysja słowna zdarzyła się na procesie o zajścia w Wysokiem Mazowieckiem. Podajemy wyjątek ze sprawozdania w „Warsz. Dzien. Narodowym" z dnia 24 lutego. Oto fragment przemówienia obrońcy oskarżonych narodowców, adw. Bogusława Jezierskiego:

„...w imię „szczerości i uczciwości", o które apelowali powodowie cywilni (strona żydowska, przyp. nasz), zastrzec się muszę przeciwko porównywaniu rozpoznawanych tu zamieszek do „kłótni w rodzinie". Żydzi nigdy nie byli i nie będą dla nas członkami rodziny, lecz tylko uciążliwymi sublokatorami, których musimy się corychlej pozbyć. Nasze dotychczasowe współżycie porównać można jedynie do współżycia pasorzytniczej jemioły z dębem..."

Przewodniczący: „Panie obrońco, ja prosiłbym, aby pan zechciał stanąć na gruncie konstytucji i współżycia obywateli państwa Polskiego".

Rozmowa, jakich wiele. Ale doskonale się w niej rysuje w migawkowym skrócie obraz dzisiejszego stanu rzeczy w Polsce, gdzie tak ludziom trudno zrozumieć się nawzajem. Jakże bowiem się mogą porozumieć ludzie, mówiący tak różnemi językami? „Rodzina" i „obywatel" to pojęcia z różnych porządków. „Człowiek, rodzina, naród, państwo" i: „obywatel, państwo" to dwa zupełnie różne szeregi pojęć.

Smutny jest obraz społeczeństwa, któremu brak stałego zbioru pojęć kardynalnych, dla każdego oczywistych i pewnych—jakby nie było żadnych doświadczeń życia zbiorowego w ciągu dziejów, żadnej przez to zdobytej pospólnej mądrości. I jakże tu mówić o zbiorowym wysiłku twórczym, skoro brak tej najprymitywniejszej więzi społecznej, jaką jest wspólny język? To też walka, jaka się dziś toczy w Polsce, to walka o ten wspólny język. O cóż bowiem chodzi, jeśli nie o to, który z przytoczonych szeregów pojęć przyjąć za artykuł wiary? A jest to sprawa ważna. Nie o słowa tu chodzi, ale o człowieka. O to, czy jest on katalogową pozycją spisu ludności, czy istotą żywą, częścią żywego organizmu społecznego. Tedy i o ten organizm społeczny tu idzie—o naród.

Inaczej zgoła niż w drugim szeregu pojęć, rysuje się struktura tej zbiorowości w szeregu pierwszym, bogatszym w ogniwa, dostosowanym do złożoności życia. Całe mnóstwo zagadnień inaczej się przedstawia oczom od tej strony. Widoczny się staje naród, jako indywidualność odrębna, choć złożona i całe bogactwo życia człowieka, rozlicznemi węzłami z tą zbiorowością związanego. Przez okulary drugiego szeregu pojęć—narodu nie dostrzega się wcale. Nie dostrzega się życia, a i człowieka też, w gruncie rzeczy. Widać tylko formalne pozycje jakiejś oderwanej klasyfikacji. Są to zmniejszające szkła, używane przez krótkowzrocznych biuralistów do śledzenia pozycyj w księgach buchalteryjnych.

*

Jest rzeczą charakterystyczną, że scysja na tle takiej różności pojęć zdarzyła się na procesie o zajścia przeciwżydowskie. Oto bowiem sprawa żydowska jest tą właśnie, która najczęściej i najwyraźniej ujawnia walkę tych dwu szeregów pojęć. Widać tu dobrze, że walka z żydami jest tylko jednym z frontów wielkiego boju, w którym o samo życie człowieka i narodu idzie. Widać też,

że sprawa żydowska nie jest tylko kwestią gospodarczą.

Rozstrzygnięcie tej sprawy, to zarazem przyjęcie przez Polskę za artykuł wiary pierwszego lub też drugiego z wymienionych szeregów pojęć. O to, czy zgodzimy się, że jesteśmy narodem, czy też tylko zbiorem ludzi, który można rządzić socjalistyczną buchalterią. Ale możliwe jest i wyjście trzecie, a raczej właśnie nie wyjście— to stan obecny, trwanie bez ładu, bez świadomości tego czem się jest. W tym wypadku chodzi o to, czy Polska oprze się o wiekowe doświadczenia życia zbiorowego cywilizacji zachodniej i chrześcijańskiej, czy też rezygnując ze swego starszeństwa, żyć będzie życiem parweniusza, albo i zgoła dzikusa, który w zetknięciu z cywilizacją europejską nie może się w niej połapać i nosi na szyi jako przedmiot święty to, co dla każdego europejczyka jest poprostu cynową łyżeczką.

*

Walka się toczy o skalę życia Polski, o poziom jej politycznych poczynań, o jej miarę. Naprawdę o wielką Polskę. W tej walce zgodę osiągnąć można tylko przez wspólną wiarę. Samo nawoływanie do zgody nic tu nie pomoże. Bo i jakże mamy się godzić dokoła armii naprzykład, jeśli nie umiemy się zdecydować, czy członek narodu, czy „obywatel“ bije się lepiej?

I jakże stąd daleko do wielkiego dzieła płk. Koca! To, że jego deklaracja coś „rozumie" i coś „dostrzega", to zamało na zgodę, jeśli nawet nie ustalono kogo mamy godzić—naród czy obywateli. Ta zgoda unika artykułów wiary.

Nie doznajemy też olśnienia na wieść o odkryciu, że „zarządzenia winny być racjonalne i celowe". Jakże długo musielibyśmy się grzebać, zanim zrobilibyśmy cokolwiek, jeślibyśmy tak powoli, od tak elementarnych rzeczy poczynając, mieli porządkować swe pojęcia, ustalać zasady. Cóżby powiedział jakiś, powiedzmy, Anglik, słysząc je wygłaszane uroczyście prawdy? Zapewne tyle, że u nich, w Anglii, dawno już dostrzeżono i poznano tajemnicę cynowej łyżeczki i, że umiejąc jej używać, zbywszy z głowy kłopotu, myśli się tam już o rzeczach innych.

J. GR.

IDEAŁ DZIEJOWY DAWNYCH NIEMIEC

I

MISJA narodu oznacza posłannictwo, jakie ma spełnić dany naród wobec ludzkości czy wobec świata.

Ale najpierw czy jest i wogóle być może misja narodu? Odpowiedź wymaga namysłu, albowiem różnie o tem się mniema i dany naród sam siebie różnie sądzi. Kto jednak historii nie uważa za splot przypadkowych wydarzeń, ale widzi w niej wyryte piętno woli Opatrzności Bożej, ten da natychmiast odpowiedź twierdzącą. I słusznie. Jeżeli bowiem chciał Pan Bóg, żeby ludy i narody istniały, to musiał każdemu z nich dać swoisty cel, który stanowi właściwe, szczególne zadanie, jakiemu dany naród powinien służyć i jakie winien ziścić w życiu ludzkości. To też gdy jakiś naród więcej niż przez tysiąclecie odgrywał wybitną rolę w dziejach kulturalnej ludzkości, można z jego przeszłości wysnuć wniosek, jaką misję Bóg mu powierzył. A każde prawdziwe badadanie historyczne jest wówczas niczem innem jak tylko śledzeniem tajemniczych dróg Opatrzności.

Współczesna straszliwa burza, jaka szaleje na dnie duszy niemieckiej, te radykalne przeciwieństwa w wyborze środków zaradczych, to miotanie się od trzeźwej, często grubej, realistyki do mrzonek idealistycznych, te skrajności i sprzeczności, które odzwierciedla oblicze duchowe Niemiec dzisiejszych i dla których życie współczesnych Niemiec oznacza się często mianem chaosu—wszystko to stwierdza, że ten o wielkich, dziejowych tradycjach, ale piętnem tragizmu znaczony naród szuka coraz gorączkowiej właściwego sobie miejsca na arenie świata.

Jeśli w rozstrzygających chwilach życia jednostki odgrywają ważną rolę doświadczenia minionej przeszłości, to o ileż bardziej w życiu całego narodu. A mamy tu na myśli nietylko wydarzenia historii politycznej, ale o wiele bardziej fakty kulturalne. Boć przecie misja danego narodu ujawnia się nie w podbojach, nie w rozszerzaniu mocarstwowej potęgi, lecz w tej wewnętrznej, duchowej treści, która odbija się w zewnętrznych czynach narodu i która niemi kieruje. To też, by zrozumieć jakąś epokę dziejową, nie wystarczy znać wydarzenia, jakie w niej zaszły, gdyż istotę i znaczenie danego, historycznego okresu wyraża o wiele dobitniej to, jak te zewnętrzne wydarzenia odzwierciedlają się w wewnętrznem, duchowem życiu jakiegoś wieku, w jego literaturze, poezji i sztuce. Tam również poszukamy odpowiedzi na pytanie: czy i jakie było posłannictwo dziejowe narodu niemieckiego, oraz kiedy i jak on je spełniał?

II

Kiedy naród niemiecki w VIII wieku zapala nad światem swoją pochodnię dziejową to zjawia się przed ludzkością jako spadkobierca myśli rzymskiej. Wprawdzie inne ludy pragnęły również tego dziedzictwa, lecz zdobytych przejściowo włości żaden z nich utrzymać nie zdołał. Słowem Gotowie, Wandalowie i inne ludy germańskie, które podbiły zachodnie kraje państwa rzymskiego, wszystkie one były arjańskie, w stosunku zatem do katolickich Rzymian—przecie rzymska ludność Italii, Galii, Hiszpanii jest już wtedy całkowicie katolicka—były nietylko barbarzyńskiemi zdobywcami, lecz także kacerzami, dzieliła je przeto rów-

nież religia. Tymczasem Frankowie a z nimi większość plemion niemieckich byli katolikami. Fakt ten stwarza wspólnotę uczuciową między nimi a mieszkańcami rzymskich prowincyj. To też królowie frankońscy, zwłaszcza Karol Wielki, nie odgrywają już roli zdobywców, ale prawnych władców. Kościół zaś występuje jako obrońca cywilizacji, wprowadzając ład w ogólnem zamieszaniu i pokój wśród ludów chrześcijańskich. Koronacja Karola Wielkiego na cesarza uświęca legalnie ten charakter jego władzy i przyobleka w formę instytucji tę myśl państwową, której urzeczywistnieniem było święte, rzymskie państwo średniowieczne.

To zaś cesarstwo średniowieczne przejęło od dawnego imperium rzymskiego pogląd, że świat cywilizowany powinien tworzyć jedność polityczną, zatem koncepcję państwa światowego. Ideał wszakże nowego państwa stworzyła tym razem już nie filozofia antyczna, lecz największy umysł chrześcijańskiej starożytności — św. Augustyn w dziele swem: „*De civitate Dei*” czyli: „O państwie Bożem”. Według niego państwo ziemskie nie jest celem samo w sobie, lecz przejściem li tylko do państwa Bożego. Tem zaś to państwo ziemskie jest doskonalsze, im bardziej upodabnia się do państwa Bożego, a zadanie swoje spełnia ono wtedy, gdy umożliwia obywatelom osiągnięcie najważniejszego celu każdego człowieka t. j. „*pervenire ad Regnum, cuius nullus est finis*”—dostąpić Królestwa, które jedynie samo w sobie jest celem. W związku z tem, jako trzeci składnik, odegrała dużą rolę germańska, prawno-społeczna instytucja, znana pod mianem lenna, którego istotę stanowi moralna zasada, że z władzą nietylko prawa, lecz także obowiązki się łączą.

Jakkolwiek wszelkie dzieło ludzkie jest niedoskonałe i ułomne, albowiem pomiędzy ideałem a jego urzeczywistnieniem tkwi zawsze pewna luka, to nie da się jednak zaprzeczyć, że średniowieczne cesarstwo Rzymskie zbliżyło się najbardo ideału chrześcijańskiego państwa, tworząc wielką rodzinę ludów chrześcijańskich. W państwie tem niema zdobywców i ludów podbitych, niema panującego narodu i ujarzmionych prowincyj. Pod znakiem chrześcijańskiej miłości bliźniego żyją w niem obok siebie germańskie, łacińskie i słowiańskie ludy, a cesarz, który nie jest władcą jednego narodu, lecz panem świata, czuwa nad pokojem wszystkich poddanych. Że to nie złudny płód wyobraźni, ale trzeźwa rzeczywistość, stwierdza wymownie ta zakrojona na wielką skalę działalność misyjna, którą kościół rozwinął w X — XI wieku, dokonując nawrócenia północno-germańskich ludów, oraz Czechów, Polaków i Węgrów. Nie byłoby to bowiem możliwe, gdyby w centrum Europy żyły podówczas skłócone wzajem narody. Ale świadczy o tem również jeszcze inna okoliczność.

Oto pod opiekuńczym płaszczem średniowiecznego, katolickiego cesarstwa rozwijają się kultury narodowe, które już u schyłku VII stulecia prężą zwolna skrzydła do wartkiego lotu. Wszak ludy te jedne były w wierze, jedne w przekonaniu o tożsamości ostatniego celu i dlatego mogły również stać się jedne w urządzeniu życia ziemskiego. To zespolenie jedności i różności jest polityczną sztuką średniowiecza. Pięknym symbolem tego jest średniowieczna architektura. Stare, gotyckie katedry zdobią setki i setki kamiennych róż, zdaleka wydaje się wszystko czemś jednem, dopiero zbliska się widzi, że każda z nich inna i inna.

„*Unitas in varietate, et varietas in unitate!*”

A duszą tej jedności były właśnie Niemcy. Uzdolniła je do tego wewnętrzna organizacja, która różność plemienną i starodawną godność książęcą umiała pogodzić z władzą królewską i jednością państwową. Najbardziej wszakże usposobiła je do tej misji ta osobliwa, przejmująca i przetwarzająca zdolność duszy niemieckiej, dzięki której Niemcy były zawsze gotowe do umiejętnego przejęcia i asymilacji duchowych skarbów innych ludów, na których to skarbach wyciskały ognistą pieczęć i własnego ducha i dalej je przeszczepiały i krzewiły.

III

Najwierniejszym wyrazicielem duszy i duchowego stanu każdego wieku jest literatura. Co w szerokich warstwach żyje podświadomie, lub tylko jako niejasne przeczucie, to geniusz poety odczuwa intuicyjnie i wyraża nazewnątrz słowami. Średniowieczna literatura niemiecka stwierdza dobitnie powyższą zdolność duszy niemieckiej. Stanowi ona nietylko prawdziwy zbiornik średniowiecznej poezji europejskich ludów, ale odgrywa ponadto rolę czynnika kształtującego i utrzymującego ją dla przyszłych stuleci. Duch niemiecki nietylko dał klasyczną formę własnym klechdom oraz legendom pokrewnych sobie ludów północnych, gdy z pogańskiej klechdy o krwawej zemście stworzył w pieśniach Nibelungów klasyczny epos niemieckiej wierności, lecz on również nadał ostateczną formę podaniom ludów celtyckich i łacińskich. Wszak średniowieczne, wielkie legendy o Artusie i Gralu opracowali poeci niemieccy w XII i XIII wieku.

Lecz duch niemiecki nietylko przejmował i opracowywał tematy owe, ale wzbogacał je ponadto głębią własnej treści duchowej. Były dlań one tylko źródłem awanturniczych przygód i źródłem bohaterów tych przygód, a on zaś — bez uszczerbku dla przepychu rycerskiej romantyki — punkt ciężkości przygody przeniósł do duszy, z bohaterów przygody stworzył bohaterów ducha. Na podłożu niemieckiej poezji wyrosła spójnia dwuch wielkich kompleksów legend średniowiecza, zbiór klechd o Artusie i Gralu, a przez to ideał rycerski wzniósł się do nadprzyrodzonych wyżyn.

Ale duch niemiecki nietylko przejmował i przetwarzał, ale też rozkrzewiał różne kultury i między niemi pośredniczył. Dla Italii były Niemcy w mgłach dalekich spowitą Północą, dla ludów zaś północnych były słonecznem, promiennem Południem, narody zachodnie widziały w nich bramę, przez którą wiedzie droga na tajemniczy, bajkowy Wschód, a wreszcie przed ludami Europy wschodniej jawiły się Niemcy jako cywilizowany Zachód. Tę przejmującą, przetwarzającą, wyrównywającą i pośredniczącą misję spełniał naród niemiecki w czasach średniowiecza.

To swoje posłannictwo straciły Niemcy, gdy rozdwoiły się duchowo, gdy rozprzęgła się ich jedność narodowa i państwowa, a wraz z nią zniszczała jedność chrześcijańskiej Europy. Re-

formacja stała się najtragiczniajszem wydarzeniem niemieckiej historii. Przez nią większość narodu niemieckiego oderwała się od tej wspólnoty kulturalnej, która łączyła ludy katolickie. Wytworzyła ona przedział nietylko między północnemi i południowemi Niemcami, lecz także wykopała przepaść między ich własną przeszłością i teraźniejszością. Że aż do XV wieku istniała naprawdę europejska solidarność, lub nawet—by tak się wyrazić — europejski patriotyzm -- stwierdza fakt, że tak krwawe wojny między chrześcijańskiemi ludami, jak w XVI i XVII stuleciu, są nie do pomyślenia w średniowieczu. Według opowieści o Gralu Amfortas, który wdał się w świecką przygodę, otrzymuje nieuleczalną ranę, gdyż rycerz chrześcijański nosił miecz tylko na obronę Chrystusowego Kościoła. Średniowiecze wojnę wzajemną między ludami chrześcijańskiemi uważało za walkę bratobójczą. Później wszakże już możliwe się staje, że państwa chrześcijańskie łączą się z... Turkami.

IV

Nasuwa się pytanie, czy wraz z utratą historycznej w ciągu wieków spełnianej misji znikła równocześnie z duszy niemieckiej świadomość o jej wysokiem posłannictwie. Patrząc na wydarzenia historii politycznej, możnaby prawie dać odpowiedź twierdzącą, albowiem tradycje średniowiecznego uniwersalizmu zachowuje i reprezentuje już tylko nosząca cesarską koronę dynastia Habsburgów.

Wzorem dawnych cesarzy uważa się przedewszystkiem za obrońcę Kościoła, co czyni jej naturalnym obowiązkiem walkę z reformacją. Gdy Habsburgowie prowadzili wojny religijne, które zresztą nosiły zawsze charakter obronny, nie czynili tego z braku tolerancji, fanatyzmu religijnego, lub wreszcie względów mocarstwowych, ale spełniali tylko swój obowiązek wypływający z poczucia o swej wysokiej godności. Przecież cesarz był nietylko jednym z wielu panujących, ale także świecką głową chrześcijaństwa, to też uważał za swoje zadanie bronić świat cywilizowany przed barbarzyństwem i napaściami. Dlatego przez dwieście lat prowadzą nieustanną wojnę z Turkami. To zaś że walki te przez półtora wieku mają charakter obronny, dowodzi tylko, jak rozpadła się bardzo jedność Europy. Natomiast w jak wysokiej mierze wpływa na ogólne położenie Europy wewnętrzna harmonia Niemiec stwierdza ten znamienny fakt, że kiedy u schyłku XVII wieku, w chwili skrajnego niebezpieczeństwa udało się cesarstwu na krótki przeciąg czasu skłonić państwo do jednolitego działania, wówczas w mordujących się wzajem narodach europejskich rozbłysło na nowo przygasłe wspomnienie chrześcijańskiego braterstwa, a wojna przez te ludy podjęta zyskała charakter europejskiej wyprawy krzyżowej.

V

Inna odpowiedź wypadnie na powyższe pytanie, jeśli się weźmie pod uwagę niemieckie życie duchowe. Po wielkim duchowym i politycznym upadku w XVI wieku i przez lat dziesiątki w ciągu nieustannych wojen wewnętrznych panuje sama przez się zrozumiała stagnacja. Lecz już od drugiej połowy XVIII stulecia można zauważyć, jak duch niemiecki usiłuje znów wzbić się ku wyżynom. Powiedziećby można, że niemieckie życie duchowe jest odtąd jużto świadomą, jużto nieświadomą, lecz ciągłą walką o odzyskanie utraconego posłannictwa. Duch niemiecki poczuł wtedy, że on kiedyś stał na czele ludzkości i za swoje zadanie uważa odzyskać to przodujące stanowisko przez stworzenie takiego ideału, który nie jest przywiązany do językowych i politycznych granic. Ideał ten znalazł w artystycznem pięknie starożytności i w objawiającym się w niem humaniźmie. Świat starożytny podbił w pewnym okresie literaturę każdego europejskiego narodu, lecz żadne piśmiennictwo nie zrozumiało starożytnego świata greckiego tak głęboko jak właśnie Niemcy, które uczyniły to z wyrzeczeniem się niemal swej własnej istoty.

Jednakże jest w tem również coś tragicznego. Klasycyzm niemiecki upada z chwilą, gdy narodowe i państwowe życie Niemiec utknęło na martwym punkcie. Dusza niemiecka ucieka przed rzeczywistością w krainę wyobraźni, ale — i w tem właśnie jest rys tragiczny — jej wyobraźnia nie stworzy wyższego świata, lecz przeciwnie jeszcze bardziej przykuje do ziemi szamocącego się ducha. „*Das Drüben kann mich wenig kümmern*";— mówi do Mefista Faust, wcielenie idei klasycyzmu — „*Aus dieser Erde quillen meine Freuden und diese Sonne scheint meinen Leiden*". Rzecz naturalna, że wzdryga się przed rozwiązaniem najgłębszych zagadnień życiowych. A jeśli nie zaprzecza świata nadprzyrodzonego, to w każdym razie usuwa się odeń. Na pytanie Gretchen, czy wierzy w Boga, Faust daje wymijającą odpowiedź. I właśnie dlatego brak wielkich perspektyw w świecie niemieckiego klasycyzmu. Wyraża to umiejętnie w dramacie Fausta obietnica Mefista: „*Wir sehen die kleine dann die grosse Welt*". Obraz świata w ramach codziennego życia, w którem Faust grzęźnie w bagnie niskich uciech wybornie się udał, ale gdy w drugiej części tragedii Faust stać się miał siłą twórczą historii, opadają mu skrzydła.

Zamiast wielkich myśli i wielkich czynów otrzymujemy tylko kilka czarodziejskich produkcji, parę bladych symbolicznych obrazów, a największem dziełem Fausta jest wydarcie północnemu morzu zapomocą tam kilku kilometrów kwadratowych. I wówczas mimowoli przychodzą na myśl słowa, które Goethe kładzie w usta ducha ziemi: „*Du gleichst dem Geist, den du begreifst*".

Nikt nie może zaprzeczyć piękna i ogólnoludzkich wartości rozsianych szczodrze w poezji Goethego, lecz ideału nie stworzył. Albowiem naszym ideałem może być to tylko, w co wierzyć i czem żyć możemy. Starożytny hedonizm już nie mógł być ideałem życiowym w XIX wieku.

Dusza niemiecka zbudziła się wówczas i dała odpowiedź w romantyźmie, który choć początkowo po manowcach, ale szczerze szukał i znalazł złoty wiek narodu niemieckiego właśnie w tem średniowieczu, które rzekomo wszelkie „oświecenie" wykreśliło poprostu z historii ludzkości. W średniowieczu dusza niemiecka odkrywa wielkiego wychowawcę ludzkości, Kościół i pojmuje, że katolicyzm był tą siłą, która dokonała jedności i wysunęła niemiecki naród na czoło ludzkości poto, by na gruzach starego świata budował świat

nowy. To też mistyczne pragnienia dusz zmęczonych rozgwarem życia, czy uwiedzionych na jego bezdroża znajdują w tym czasie ukojenie u źródeł katolicyzmu, który je zaspakaja. Romantyzm był największem duchowem nawróceniem, jakie ludzkość przeżyła od czasu XVI stulecia. Poprzez długi łańcuch filozoficznych, estetycznych i politycznych usiłowań wracają na łono Kościoła ludzie tej miary, jak: Fryderyk Schlegel, Adam Müller, Brentano i Görres — żeby tylko największych wspomnieć — a jeśli z nim formalnie nie zerwali, to stają się wierzącymi gorliwymi katolikami.

Jeszcze piękniej i silniej ujawnia się w tym okresie dążenie ducha niemieckiego do uniwersalizmu w — muzyce. Havdn, Mozart, Beethoven, a później Schubert i do klasycznych wyżyn wzniesiona wiedeńska muzyka popularna urzeczywistniają właściwie ten ideał, ku któremu dążyła poezja wieku, ale którego ziścić nie zdołała. W muzyce tej znajdujemy znów połączone razem: doskonałość włoskiej formy, francuską lekkość i niemiecką głębię. Klasyczna muzyka Wiednia umiała raz jeszcze wyrazić człowieka Europy, odbijającego się w duszy niemieckiej. Ale muzyka ta wyrosła również z prastarego, katolickiego podłoża kulturalnego nie z tego jedynie względu, że wielcy kompozytorzy tego wieku byli katolikami, lecz także dlatego, że artyzm ich sztuki doszedł do szczytu właśnie w utworach o charakterze religijnym, a nawet liturgicznym.

VI

Ten schematyczny przegląd niemieckiej przeszłości i dziejów niemieckiego życia duchowngo miał na celu stwierdzić dwa fakty. Najpierw to, że w czasach średniowiecza naród niemiecki czuwał nad związkiem europejskich ludów chrześcijańskich i utrzymywał tego związku spójnię. Z drugiej zaś strony to, że dusza niemiecka zachowała świadomość i pamięć o dawnem swem powołaniu, jakkolwiek szukała go często na błędnych drogach i czynami swemi sprzeniewierzała mu się nieraz. Fakty historyczne wskazywały jednak na to—a to najważniejsze—że Niemcy wtedy dzierżyły wysoko sztandar swego posłannictwa, kiedy ducha ich przenikała do głębi ta wszystko obejmująca, różnice zacierająca, a przeciwieństwa wyrównywująca siła katolicka. To też ilekroć Niemcy uświadamiały sobie dawne powołanie, oznaczało to zawsze zwrot duchowy do katolicyzmu.

ZBIGNIEW ZAŁĘSKI

DLACZEGO WYGNANO ŻYDÓW Z FRANCJI?

II

HANDEL NIEWOLNIKAMI zajmował w stosunkach gospodarczych Imperium jedno z naczelnych miejsc. Uprawiali go głównie Grecy i Fenicjanie, ciągnąc zeń niesłychane zyski, którym kres położył dopiero upadek Rzymu. Przewrót gospodarczy, a przedewszystkim nowe pojęcia moralne konsekwentnie wprowadzane przez Kościół kłaść poczynały skuteczne tamy rozwojowi niewolnictwa w formach w jakich istniało ono wśród Rzymian, jak i wśród Germanów. Zbyt trudnym jednak było usunąć nagle i radykalnie stan rzeczy stanowiący rezultat wielowiekowych nawyknień i tradycyj. To też za panowania Merowingów handel niewolnikami utrzymuje się na terenie dawnej Galii, choć w znacznie słabszych, niż za rzymskich czasów rozmiarach, przyczem miejsce Greków i Fenicjan zajmować poczynają stopniowo żydzi.

Nowy „interes" nie zapowiadał się początkowo zbyt pomyśnie, a raczej przeciwnie wszystko wydawało się rokować, że jest to gałąź handlu skazana na nieuchronną i szybką zagładę. Któż miał bowiem naśladować dawnych pogańskich *honestiores* — właścicieli latyfundiów, wysokich urzędników państwowych i komunalnych, dzierżawców ceł i podatków, dbałych o skład, dobór i wygląd swych *familiae rusticae* czy *urbanae*. Przecież nie biskupi lub opaci klasztorów, ani nawet do innego trybu życia i użycia przywykli, najbardziej okrutni czy rozpustni, królowie świeżo nawróconych ludów germańskich. Brakło więc odbiorców muskularnych barbarzyńców północy, pięknych dziewcząt z wysp greckiego archipelagu, czy przedwcześnie zdegenerowanych młodzieńców z przeróżnych krajów dalekiego Wschodu. A przy uprawie roli miejsce dawnego niewolnika stopniowo zajmować poczynał z ziemią a nie z jej panem związany półwolny czy niewolny *colonus*, zamienić się mający wkrótce w ustroju feodalnym na poddanego (serf).

„W krajach frankońskich — stwierdza żydowski autor [1]) od czasu przeszczepienia chrześcijaństwa znika właściwe niewolnictwo tubylczej ludności."

I byłby ustał w całym świecie chrześcijańskim handel niewolnikami już między VI a VII wiekiem z tych samych względów, dla których zanikł 500 lat później, gdyby go nie ujęły i nie opanowały chciwe ręce żydowskie i gdyby rozwój wypadków nie stworzył dlań wyjątkowo pomyślnej „koniunktury".

Oto dzięki podbojom, dokonanym przez Arabów, północna Afryka i Hiszpania dostają się pod władzę Islamu. Rozpoczyna się wielowiekowa nieubłagana walka na śmierć i życie między Krzyżem i Półksiężycem. Wtedy to właśnie:

„Przy ostrych przeciwnościach mahometańskiego i chrześcijańskiego świata — poucza nas żydowska encyklopedia [2]) — okazała się nieodzowną rola pośrednicza żydostwa w handlu międzynarodowym. Ponieważ wolno im było mieszkać w państwach mahometańskich, w których posiadali liczne przywileje, mogli się stać oni nosicielami towarowej wymiany między Wschodem i Zachodem".

Towarami przy których wymianie niezbędną

[1]) Dr. Ignacy Schipper. Studia nad stosunkami gospodarczemi Żydów w Polsce podczas średniowiecza. Lwów 1911 str. 23.

[2]) E. J. VII 923

okazywała się pomoc żydowskiego pośrednictwa, były według arabskiego kronikarza Ibn Khordadbeh'a „eunuchowie, niewolnice i chłopcy" sprzedawani do arabskiej Hiszpanii [3]). A że, jak już wiemy, od czasów „przeszczepienia chrześcijaństwa" trudno było o podobny „towar" w dawnej Galii, trzeba go było szukać wśród odległych krajów słowiańskich czy celtyckich. To też nie bacząc na piętrzące się trudności i niebezpieczeństwa śmiało i odważnie zapuszczają się karawany żydowskich kupców w nieprzebyte puszcze między Łabą i Wołgą, zamieszkałe przez ludność, która według rabina i podróżnika Benjamina z Tudeli: „zwykła synów i córki sprzedawać innym ludom" [4]). Celowali w tem zwłaszcza Czesi, ów „lud o twardych karkach, powolny namiętnościom" [5]).

„Zakupionych w krajach słowiańskich niewolników transportowali żydzi niemieccy do Verdun nad Saoną, następnie do Lionu, skąd żywy towar dostawał się na główne pole zbytu, jakiem była arabska Hiszpania" [6]).

W Verdun prawdopodobnie lub w drodze do Lyonu do transportów słowiańskich niewolników dołączano partie tych, którzy przybywali przez Brystol z wysp Wielkiej Brytanii i Irlandii [7]). W ten sposób stawała się Francja centrum handlu niewolnikami, a miasta wzdłuż traktów leżące terenem głównych operacyj. O ile przytem w czasach poprzedzających dojście Karolingów do władzy, można było mówić o współudziale w tej dziedzinie handlu kupców nieżydowskich, o tyle za czasów Karola Wielkiego i jego następców supremacja żydów nie ulega już żadnej wątpliwości [8]). Nic w tem dziwnego, wszak chrześcijanin sprzedający nawet pogańskich niewolników „niewiernym" stawał się grzesznikiem, łamiącym surowe nakazy kościelnych synodów, wyrzutkiem społeczeństwa potępionym przez zgodną opinię wiernych. I mógł być tylko coraz rzadszym wyjątkiem od ogólnej reguły. Dla żyda zaś sprzedaż pogańskiego czy chrześcijańskiego goja dla osiągnięcia materialnych korzyści gojowi arabskiemu była czynem zupełnie zgodnym z przepisami talmudycznej doktryny i z opinią współwyznawców, którzy nieśli mu ochotnie pomoc i zapewniali poparcie we wszystkich miastach i krajach przez które ze swym „białym hebanem" wędrował.

[3]) Cyt. za *„Der Geldhandel der deutschen Juden während des Mittelalters bis zum Jahre 1350 von Mozes Hoffmann Rabbiner. Staats und Sozialwirtschaftlichen Forschungen Heft 152*, Lipsk 1910. str. 18.

[4]) Cyt. za Schipperem op. c. str. 26.

[5]) *„Populus autem erat dure cervicis, servus libidinum factus; miscebantur cum cognatis, sine lege, cum uxoribis multis. Mancipia christiana perfidis Judeis vendebant"*. Brunona, Żywot Św. Wojciecha. *Monumenta Poloniae historica* I s. 197.

[6]) Schipper op. c. str. 24.

[7]) Hoffman op. c. str. 17.

[8]) Juster op. c. t. II str. 302... *„Le trafic esclavagiste des Juifs prenait une importance de plus en plus grande"*. str. 314. *„...dans le commerce le nombre des Juifs n'avait d'abord rien d'exagéré.... Vers le sixiéme siécle il y a incontestablement chez eux une importante spécialisation dans le commerce national et international en général et peut — étre il y a-t-il de leur part un monopole de fait, un accaparement du commerce international d'esclaves"*. *Weitr, Deutche Verfassungsgeschichte* 8 str. 95, *„dieser Sklavenhandel wird nun, wie es scheint, in unserer Zeit immer mehr zu einem specifisch jüdischen Handel"*. Hahn op. c. str. 29. *„er wird ganz überwiegend von Juden betrieben:"* str. 32—33, *Sklavenhandel... „ der gerade in der Karolinger Zeit sich gewaltig entfaltete, lag zum grossen Teil, zum weitaus grösseren wohl, in den Händen der Juden"*. str. 80, *„Als etwas ganz Regelmässiges, Häufiges erscheint dieser jüdische Sklavenhandel"*.

Dziewczęta, chłopcy i dorośli niewolnicy nie byli jedynym towarem, który w odległych ziemiach słowiańskich nabywali kupcy żydowscy dla późniejszego zyskownego odsprzedania Arabom. Z pustemi rękami nie ciągnęli oni na Północ, ani potem po zbyciu partyj żywego towaru wracali ze słonecznej Hiszpanii. Piękne tkaniny wschodnie, wonne olejki, nieznane korzenie i przyprawy do potraw, farby zdumiewające trwałością i niesłychanem bogactwem barw, broń z najlepszej kuta stali, ciężkie odurzające wina południowe — oto główne obiekty handlu, które w ograniczonych do naturalnego gospodarstwa krajach frankońskich chętnych znajdowały nabywców. Mieszkańcy pierwszych płacili za ów luxus zdobiący i uprzyjemniający życie brzęczącem złotem lub pergaminowymi zwojami królewskich czy książęcych przywilejów i faworów, [9]) mieszkańcy drugich ciałem i wolnością swych dzieci. Tryumf Islamu i w tej dziedzinie dopomógł przedsiębiorczym synom Izraela. Podbój Syrii przez Arabów w VII wieku po Chrystusie usunął najgroźniejszych konkurentów monopolizujących do owego czasu w swych rękach handel Wschodu z Zachodem. Miejsce kupców syryjskich zajmują żydzi i dzierżyć je będą aż póki ich z lukratywnych stanowisk nie wyprze rodzimy nieżydowski handel. Nim to się stanie, uzyskają niesłychane bogactwa, zapewnią sobie szeroko rozgałęzione stosunki i możnych a uczonych protektorów, wyrobią wreszcie hart fizyczny obok wielkiej pewności siebie. Czasy były bowiem niespokojne i burzliwe. Tysiące przygód i niebezpieczeństw czekało na każdej z trzech wielkich handlowych dróg rozchodzących się z Francji I. Morzem Śródziemnym do Egiptu skąd Morzem Czerwonym do Indii, lub przez Antjochję do Persji, II. przez Hiszpanię do Afryki, III. przez Niemcy i ziemie słowiańskie do nadwołżańskiego Itil, stolicy państwa Chazarów. Szlak tej ostatniej prowadził przez Regensburg, Pragę, Kraków i Kijów. Gdy nadchodził wieczór piątkowy, zatrzymywały się karawany, ustawiano wozy w koło, wynajęci dla ochrony chrześcijańscy pachołkowie dzierżyli straż, a pod ich czujną opieką zapominali zdrożeni kupcy o codziennych troskach i kłopotach, oddając się „pobożnym" szabasowym medytacjom. [10]).

*

Handel pieniężny stanowił trzecie potężne źródło dochodów, a choć główny jego rozkwit przypada na okres późniejszego średniowiecza, to jednak już i przed rokiem tysiącznym natrafiamy na liczne ślady lichwiarskich operacji żydowskich. Tak naprzykład św. Grzegorz z Tours wspomina w swej Historii Franków o pewnym żydzie imie-

[9]) *„Die Gunst, welcher sich die Juden bei den Königen und Grossen in dieser Periode zu erfreuen hatten, war ja hauptsächlich die Folge davon, dass die Juden als Kaufleute jene Machthaber mit den so hoch geschätzten orientalichen Gewürzen und Spezereien, Wohlgerüchen und kostbaren Gewändern versorgten, das man ihrer Hilfte in dieser Beziehung nicht entbehren konnte"*. *J. Kulischer Warenhändler und Geldausleiher im Mittelalter. Zeitschr. für Volkswirtsch. Socialpol. und Verwaltung* T. 17 r. 1908 str. 225.

[10]) por. E. J. VII 923—925.

niem Armentarius, który licznym urzędnikom pożyczał na skrypty dłużne pieniądze, aż wreszcie przez swych dłużników zamordowany został [11].

Kredyt tych czasów to przedewszystkim kredyt na cele konsumpcyjne — pomoc pieniężna dla ludzi dotkniętych klęskami żywiołowemi, pozbawionych elementarnych środków do życia. Korzystała zeń wszelka biedota i w groźnych dla siebie chwilach korzystała chętnie, nie orientując się w ciężarach, jakie niosła za sobą zaciągnięta pożyczka, której żadną miarą z normalnych swych zysków spłacić nie byli w możności. Na pokrycie narastających procentów szły z najwyższym trudem wypracowane dochody, a gdy tych nie stało szedł do rąk lichwiarskich cały dobytek.

Rosło w ten sposób jednocześnie — bogactwo żydów, nędza ludności rdzennej i jej nienawiść do izraelskiego „*Ordo questuosus*"! [12]).

Inne znaczenie miały pożyczki udzielane możnym. Te mniej dawały zysków w gotówce, czy zagrabionym majątku, ale zato zapewniały pożądaną opiekę a nieraz i konieczną przed gniewem wzburzonych tłumów obronę. Nic dziwnego, że w tych warunkach coraz bujniej i potężniej krzewiło się żydostwo na francuskiej ziemi, w kronikach i dokumentach tych czasów znacząc wyraźnie wzrost swego dobrobytu i znaczenia. Poczynając od wieku V coraz to częściej podają nam źródła dziejowe przykłady żydów dzierżawców ceł, myt i podatków, właścicieli winnic, salin, plantacyj oliwnych czy ziemskich majątków. Brak wśród nich tylko posiadaczy wielkich latyfundii. I nic dziwnego, bo te otrzymywało się jedynie w nagrodę za czyny i przewagi orężne, a „jako wojownicy nie wchodzili żydzi w rachubę". [13]) I co ciekawe, jak notuje sumienny badacz przedmiotu Bruno Hahn: [14])

„Nie zachowała się nam ani jedna jedyna wiadomość w której by była mowa o uprawie posiadłości gruntowych przez samych żydów. Wręcz przeciwnie, wiadomości, które dotyczą uprawy tych gruntów dowodzą bez wyjątku, że żydzi innych — wolnych chrześcijańskich wyrobników do tego celu używali".

Bogactwo żydów ich wpływy i stosunki musimy mieć ustawicznie w pamięci, by należycie ocenić rolę jąką odgrywali w tych przełomowych czasach. Inaczej i mniej groźnie wyglądać wtedy będą owe z lubością przez oficjalnych historyków cytowane przykłady „żydowskiej martyrologii". Cóż z tego, że w czasach gdy władza świecka nierzadko torturowała nawet biskupów i innych świeckich czy kościelnych dygnitarzy rozkazywał naprzykład w 562 r, król Franków Chilperyk, by żydzi zamieszkali w Paryżu ochrzcili się, „a jeśliby ktoś przeciwiał się naszemu ordonansowi, niechaj będzie ukarany wyłupieniem oczu". I cóż z tego, że w 633 r. inny z Merowingów Dagobert wygnał żydów ze swego królestwa wraz z pozostałymi niechrześcijanami, skoro ten sam Chilperyk obsypywał faworami i darzył szczególnem zaufaniem paryskiego żydka Priscusa: „*qui ei ad species quemendos familiaris erat*", [15]) a na dworze króla Dagoberta podobną rolę spełniał "*negociator suus Salomon*". [16]) Zdegenerowani Merowingowie lubujący się w błyskotkach i zbytkach nie mogli żadną miarą obyć się bez pośrednictwa i pomocy dostarczycieli cennych zamorskich „*species*". Następcy ich Karolingowie woleli wprawdzie twardą zbroję nad najdelikatniejsze tkaniny wschodnie, ale i ich żołnierskie serca nie były w stanie oprzeć się prośbom i zaklęciom żon, faworyt i dworek, których względy umieli jednać sobie żydzi najpiękniejszemi klejnotami, sukniami z cudnych nieznanych na zachodzie materiałów, nie zastąpionemi w linii, barwie i wykonaniu. [17]) To też, gdy zabrakło surowej dłoni Karola Wielkiego, na dworze jego następcy Ludwika Pobożnego specjalnymi łaskami i poparciem cieszyli się kupcy żydowscy. Piękna i lekkomyślna cesarzowa Judyta stała się szczególnie żarliwą orędowniczką ich interesów przed swym małżonkiem. Poszły w zapomnienie postanowienia kościelnych synodów i świeckich kapitularzy, a na głowy żydów posypał się deszcz przywilejów i łask monarszych.

Daremnie przeciw takiemu stanowi rzeczy podnosili głos pierwsi na francuskiej ziemi antysemici św. Agobard biskup lioński, następca jego Amulo i biskup z Reims Hinkmar.

Waliła się znów w gruzy z takim trudem i wysiłkiem podejmowana próba zorganizowania chrześcijańskiego świata. Rozpadało się imperium Karolingów, niszczone bratobójczymi walkami, napadami Normanów i Madziarów. Zanikała wszelka władza i autorytet, rwały się prawne i moralne więzy spajające społeczność wiernych.

„Trudno nam wyobrazić sobie — powiada historyk cywilizacji chrześcijańskiej w średniowieczu [18]) rozprzężenie, które panowało w Kościele przy końcu IX i na początku X wieku".

Nękane tylu nieszczęściami umysły w nadciągającej dacie roku od narodzenia Chrystusa tysiącznego widziały pewną zapowiedź końca świata, zbliżający się nieuchronnie dzień sądu ostatecznego. Dla żydów tylko i jedynie:

„panowanie Ludwika Pobożnego, było okresem spokoju i pomyślności, który nie przytrafił im się więcej w Europie, aż do czasów nowożytnych" [19]).

(d. n.) ANDRZEJ SZUMOWSKI

[11]) *Gregor. Turonensis Hist. Franc.* 7, 23. por. Hahn op. c. 16.

[12]) Wyrażenie użyte w dekrecie Klotara II z r. 629. Ks. Corlier w swej „*Dissertation sur l'état de commerce en France*" Amiens 1753 r. tłumaczy je przez „*l'ordre des richards*".

[13]) „*Als Krieger kamen Juden nicht in Betracht*" Hahn op. c. 16.

[14]) „*Nicht eine einzige Nachricht ist uns erhalten, in der von eigener Bebaung des Grundbesitzes durch die Juden selbst die Rede wäre. Im Gegenteil zeugen die Nachrichten durchweg, wo sie von der Bearbeitung des Grundbesitzes sprechen, dass die Juden andere freie christliche Tagelöhner dazu verwandt haben*". Hahn op. c. 17.

[15]) *Greg. Turon. Hist. Franc.* 6: 5.

[16]) por. Hahn op. c. 20.

[17]) por. Schnürer op. c. t. II 108.

[18]) tamże str. 174.

[19]) „*En résumé, pour les Juifs de son royaume le regne des Louis le Débonnaire fut une période de tranquillité et de bonheur telle qu'il ne s'en presenta plus pous eux en Europe, jusque dans les temps modernes*". Graetz op. c. III, 338.

DZIEJE DZIESIĘCIOLECIA

Świeżo wydana przez księgarnię św. Wojciecha powieść „Pożyczka Zagraniczna", której autorem jest, nieznany dotychczas w beletrystyce, p. Jan Strzembosz, jest niejako prologiem do zapowiedzianego czterotomowego cyklu pod ogólnym tytułem: „Dzieje Dziesięciolecia".

Nowe nazwisko w powieściopisarstwie jest to zawsze zjawisko „pocieszające" — jakby powiedział jeden z dawniejszych recenzentów warszawskich; to samo można powiedzieć i o nowym cyklu powieściowym, zwłaszcza gdy ma on objąć dzieje tego dziesięciolecia polskiego, którego punktem wyjścia był przewrót majowy 1926 roku.

Już same tytuły poszczególnych części owego cyklu („Radosna twórczość", „Ruiny", „Jabłoń Kwitnąca") budzą dreszcz zaciekawienia, a z „Pożyczki Zagranicznej" można wywnioskować, że autor, gdyby nawet nie porwał czytelnika obrazem tego dziesięciolecia Polski wolnej, to chyba jego obudzonemu zaciekawieniu potrafi dać należyte zadośćuczynienie. Zresztą trudno o tem już dzisiaj wyrokować! W każdym razie wstęp jest niezły.

W „Pożyczce Zagranicznej" wszystko odbywa się w Paryżu, co też nasamprzód daje autorowi sposobność do wyrażenia swych uczuć miłości oraz podziwu dla Francji „wiecznej", którą umie dojrzeć poza maską niezawsze pociągającej jej współczesności — a szczególniej dla Paryża, którego fluidem — jak powiada — jest wyostrzona i niespokojna praca intelektu etc...

Uczucia powyższe wyraża autor bądź bezpośrednio od siebie, bądź też ustami niektórych postaci utworu. Dobra znajomość przedmiotu łączy się tu z niebanalnem odczuciem tego, co w ciągu wieków wydał z siebie geniusz Francji, zwłaszcza tych jego przejawów, które w rozmaitych kształtach podziwiać można w Paryżu.

Na jego tle i w jego atmosferze zarysowują się postacie utworu, które czyniąc niewiele, sporo za to mówią, a więcej jeszcze rozprawiają. Są tu, właściwie, dwie główne osoby powołane do działania: przybyły z Warszawy Zołzikiewicz polityczny i aferzysta, senator Polko, i pierwszy sekretarz ambasady polskiej w Paryżu, Jacek Białynia, legjonista czasu wielkiej wojny.

Pierwszy w istocie działa, czyni mianowicie starania, by osiągnąć pożyczkę dla jakiejś, dość problematycznej, „Suszarni Krajowej" — i celu swego dopina. Drugi — nastraja się tylko do przyszłego działania, rojąc o gruntownej przebudowie struktury polityczno - społecznej Polski, o wlaniu w nią nowej treści i nowego ducha, o czem już marzył siedząc w okopach.

Postać ujemna, pod względem moralnym, udała się nieźle autorowi, chociaż w jej charakterystyce nie brak rysów karykaturalnych; — natomiast z postacią dodatnią jest gorzej, gdyż ta, aczkolwiek autor wyposażył ją w liczne wartości odziedziczone i nabyte, i wypełnił jej ducha szlachetnymi ideami oraz dążeniami, została tu jednak zawieszona w powietrzu i dopiero chyba w następnych tomach dowiemy się, co z tego wszystkiego dobra duchowego wyszło i jakim okazało się w działaniu? Tymczasem Jacek Białynia ma jeden czyn za sobą, mianowicie — wyjazd, nie bez żalu, z umiłowanego Paryża, z miasta jego „młodości marzycielskiej i żarliwej" — do kraju, aby spełnić swój obowiązek na wieść, iż tam gotują się towarzysze do przewrotu politycznego.

Poza tym czynem głównego bohatera powieści, mamy tu same jego rozmowy i rozprawy, w których dopomaga mu gorliwie sam autor, z upodobaniem podniecający osoby powieściowe do rozmów i debatów na rozmaite tematy. Są tu roztrząsania— polityczne, historyczne, filozoficzne, religijne, artystyczne i t. p., nie jedno z nich jest na swoiem miejscu, dość często jednak wszczęte po to, żeby autor mógł zużyć zasób swej rozległej erudycji, a niekiedy i żarliwości ideowej.

Jest w tem nieco popisu erudycyjnego, a w każdym razie przesady, występującej tam gdzie erudycja jak najmniej była potrzebna i spodziewana.

Oto naprzykład, aferzyści paryscy (żydkowie) ubijając, w modnej restauracji, interes, z senatorem Polko — raptem zaczynają mówić, iż Sully (minister Henryka IV) był „wielkim finansistą" i że to on, a nie król, powiedział: „*Paris vaut une messe*" („Paryż wart mszy"... Tacy to erudyci trafiają się na bruku paryskim, wśród rekinów giełdowych! Albo jeszcze: ciż piją znakomite wino Château Belair z 1871 roku. „To samo które w r. 1891 podawano na słynnym bankiecie wydanym przez władze municypalne Tuluzy na cześć prezydenta Carnota" — informuje nas autor. Przyczynek być może ważny w „dziejach" wspomnianego wina, czytelnik jednak lepiej by odczuł wartość jego, gdyby autor powiedział mu cokolwiek o „przeżyciu" — o niezrównanej symfonji smaku i zapachu — tych którzy pili ów szlachetny trunek... Erudycja mniej tu znaczyła, niż artyzm wyrazu odpowiedniego przeżycia.

Gdy wszakże bez erudycji trudno się obyć, to niechże ona będzie kompletna i czytelnika poucza należycie, a nie wprowadza go na błędne drogi.

Jest tu scena, w której Jacek Białynia i towarzysząca mu panna Małgorzata, bardzo miła Francuska, stają w Luwrze przed Janem Chrzcicielem Leonarda de Vinci, snując przed tem arcydziełem wspólną nić swoich wrażeń. Gdyby na tem ich snuciu autor był poprzestał — wszystko byłoby dobrze, gdyż jest w tem pewien swoisty wdzięk i jakaś szczera, subjektywna prawda. Nie dość jednak tego było autorowi, konkluzją więc, jaką się kończą wrażenia tej pary powieściowej, musimy obciążyć rachunek samego powieściopisarza.

„Oto — mówił Jacek — prawdopodobnie jedno z dzieł ostatnich, zamykające, streszczające w sobie cały wysiłek geniusza. Synteza ostateczna nietylko jego sztuki malarskiej, ale przedewszystkiem jego dociekań, wahań i końcowego zwycięskiego dozmania" etc...

Wszystko to z równą słusznością — bądź niesłusznością — można byłoby zaryzykować z powodu „Wieczerzy", szkicu głowy Chrystusa,

a nawet „Giocondy" a już niema co mówić o tem, że gdy z racji Jana Chrzciciela mowa o syntezie ostatecznej geniuszu Leonarda, to niesposób pominąć jego Bachusa, (Luwr) gdyż te dwa dzieła stanowiły parę nierozdzielną w umyśle wielkiego mistrza Odrodzenia, a w ich nierozdzielności, jak mniemają ludzie, można domyślać się tych uczuć i myśli, które nurtowały w tej epoce, jakich syntezą i sam twórca owych arcydzieł był przejęty.

Nie będąc przeciwnikiem książkowej erudycji w utworach imaginacyjnych, zwracam tu uwagę na jej nietrafne zastosowanie, gdyż namiętność erudycyjna autora gmatwa nieraz prostą linię jego narracji, obciąża ją treścią niekiedy zbyteczną, a czasem przerywa nawet jej tok właściwy, doczepiając do niego ogniwa zupełnie niepotrzebne, nie dające nam lepszego poznania i zrozumienia osób powieściowych, (Np. cały duży rozdział, opowiadadający jak przed dwoma wiekami wędrował do Francji jeden z przodków Jacka Białyni. Jest to fragment jakby z innej powieści, poświęconej temu przodkowi).

Druga namiętność autora, mianowicie dyskusyjna, chociaż niezawsze dodaje opowiadaniu żywości i lekkości, jednakże w skutkach swoich jest o wiele pożyteczniejsza, dopomaga bowiem w charakterystyce osób utworu, a wprowadzając doń doniosłe zagadnienia podnosi jego wagę, czytelnika zaś pobudza do myślenia, pogłębia jego wzruszenia.

Jakkolwiek bądź trzeba przyznać, iż w tej pierwszej części swego cyklu, w której chodziło o Paryż oraz niektóre czynniki, mające dopiero coś znaczyć w „dziejach dziesięciolecia" — autor wyszedł z próby dość zwycięsko, znalazł wyraz odpowiedni dla swych zamierzeń twórczych, objawił się jako pisarz świadomy swych dróg i swego celu.

O wiele trudniejsze zadanie będzie on miał jednak w następnych częściach cyklu, w których, już na swojskim gruncie, będzie miał do czynienia z Polską, „wieczną", z jej odwiecznymi zagadnieniami, z tem, co jest ich istotą tragiczną, jak i z tem, co w stosunkach bieżących — jest ich mizerną parodją.

Miejmy wszakże nadzieję, iż autor „Dziejów dziesięciolecia" znajdzie się i tu w posiadaniu środków, odpowiadających jego ambicjom.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

CHŁOPIE I ROBOTNIKU!

Czy myślisz, że żyd, który nocą
rozwiesza portrety Lenina —
i drugi—poeta z kawiarni —
i trzeci — komisarz Kompartii, —
poto się tak poświęcają,
byś z dziećmi z głodu nie ginął,
byś nie gnił w chorobie i nędzy,
żebyś o chleb się nie martwił?

Czyś pewien, że ta, co skowyczy
o dzieciach i o torturach
i tajny drukarz z Nalewek
i agitator z Moskwy —
walczą bezinteresownie
o twoją dyktaturę,
o byt gnębionego człowieka,
o rząd robotniczo-chłopski?

A co będzie, jak się omylisz—
i po wyrżnięciu burżuazji
piętnastu milionom kułaków
przystawią lufy do łbów — —
jak naród ze Śląska i Łodzi
pognają boso do Azji,
jak będzie sowiet żydowski,
ich rząd? Co wtedy? Mów!

Za to, że dzisiaj się krwawisz
na barykadach, w aresztach —
i jesteś mięsem armatniem
i ochłapy ci dają, jak psu —
jutro by miał cię ostatni
żydziak bić w pysk i besztać,
jutro byś znów miał zakrwawić
lodownie G. P. U.!

Pamiętaj! Łącz się i walcz! —
gdy źle ci, gdy puchniesz z głodu —
bo rodzisz się—człowiek do życia,
a nie ścierwo do tuczenia świń —
Ale nie kładź łba na pień rzezakom
od uboju narodów
z powaleniem głowy na ziemię,
z babraniem się we krwi!

Pamiętaj! Gdy chłop z pod Radomia
krwawo zdobywa stragan,
gdy walczy robotnik łódzki
o byt dla polskich mas —
gdy naród się budzi i jutro
przez ulice przejdzie, jak huragan
i zdobędzie swe prawo do życia —
Pamiętaj! Jeszcze czas!

TADEUSZ DWORAK

Wydawnictwo uprasza o rychłe odnowienie przedpłaty na kw. II oraz zalegających w opłacie prenumeraty o uregulowanie rachunku.

Na żądanie wysyłamy bezpłatnie numery okazowe.

NA WIDOWNI

Zagadnienia publicystyki ideologicznej. — System zbiorowych akcesów do idei. — Kompleks wyższości i zjednoczenie. — Ideę wytwarza życie. — Rozwój polskiej publicystyki. — Przykład Stojanowskiego. — Sprawa chłopa jako zagadnienie centralne. — Dwa rodzaje rewolucji. — Mechanika i humanizm.

ZA najwybitniejsze zdarzenie polityczne w Polsce tej doby podawane jest u nas i zagranicą, orędzie płk. Adama Koca, przedrukowane przez dzienniki, rozplakatowane w całym kraju w 3 miljonach egzemplarzy. Tak szeroki i rozgłośny użytek zrobiony z publikacji publicystycznej mógłby obudzić zawiść w sercu niejednego publicysty, który pracował całe życie nad zagadnieniami narodowemi (po 10 groszy od wiersza lub bezpłatnie), — gdyby nie wdzięczność dla autora za nastręczenie tak interesującego tematu, jakim jest istota publicystyki.

Chodzi mianowicie o to, dlaczego ten krótki przegląd idei i ideałów, wchodzących w tło programów świata europejskiego, ma być wydarzeniem politycznem. Widzimy z nacisku na t. zw. akcesy, że znaczenie tego aktu polega na użytku, jaki z niego będzie zrobiony. Patrzymy na tę praktykę z pewnem zdziwieniem.

Publicysta, czyniąc wyznanie wiary i wzywając do akcesu, przemawia do myślącej j e d n o s t k i, licząc, że ją przekona i pociągnie ku sobie. To samo robi każde stronnictwo, wciągając członków na podstawie o s o b i s t e j deklaracji. Tutaj widzimy akcesy zbiorowe, zgłaszane z inicjatywy zarządów, nawet prezesów bez żadnych zebrań uprzednich. Biorę np. ostatni numer „Kuriera Porannego” i widzę na liście adherentów instytucje, organizowane nie na politycznej podstawie. Skąd zarządy ich mogą wiedzieć, jakie są upodobania polityczne członków?

„Kurier Poranny” nad akcesami daje taki wielki tytuł: „Naród dojrzał do wielkiego czynu zbiorowego”, to znaczy że ludzie zgłoszeni do obozu każdy zosobna i wszyscy razem gotowi są walczyć z przekonania pod wodzą płk. Koca. Zgłoszenia są takie: Związek inwalidów wojennych, Związek księgowych (buchalterów), Zrzeszenie fabrykantów cukrów i czekolady, Związek eksporterów ziemniaków, Związek kulturalno oświatowy Tatarów i t. d. Poprzednio dowiedzieliśmy się, że p. wojewoda Grażyński zgłosił akces całego związku harcerstwa. Czy żyro nieletnich jest ważne? Czy sam fakt należenia do harcerstwa nie wyłącza młodzieży z kręgu polityki?

Coprawda, organ obozu p. Koca nad przytoczonym tytułem daje dla wzmocnienia jeszcze inny: „U źródeł polskiego kompleksu wyższości”. To mnie zbija z tropu, bo może u tych źródeł jest to wszystko zrozumiałe, dla zwykłych jednak publicystów, pragnących utrzymywać życie swego narodu na poziomie normalnym, wszystko to razem jest zagadkowe.

Za dużo mechaniki, jak na program narodowy. Ponieważ każdy człowiek do jakiegoś związku należy, a każdy prezes w tych czasach jest na apel zgóry wrażliwy, więc łatwo stać się może, że w ten sposób mechaniczny cała ludność 30 miljonowa Polski znajdzie się w obozie płk. Koca. Czy to będzie znaczyło, że „Naród dojrzał do czynu” jednomyślnego? Wszystko pozostanie podawnemu, bo nieprawdą jest, jakoby wszystkich mógł ogarnąć „kompleks wyższości” tak skutecznie, aby cały ten zaspół stanął do czynu jak jeden mąż, dotknięty kompleksem pomienionej wyższości.

To jednak ciekawe, że ludzie w tymże obozie przed paru tygodniami jeszcze swoim kompleksem wyższości uzasadniali walkę z obozem narodowym, teraz zaś uzasadniają zjednoczenie narodowe. Kompleks w porządku, gorzej z tem zjednoczeniem.

— — — — — — — — — — — —

Gdybym był prezesem związku publicystów, nie zgłosiłbym akcesu. Nie byłoby w tem cienia kompleksu wyższości, jeno byłoby rozumienie, że w robocie narodowej nie można procesów duchowych wywoływać mechanicznie, tem mniej samym nominalizmem.

Nacjonalizm czasów naszych, jako światopogląd, jest dorobkiem wytężonej pracy publicystów, posiłkujących się zdobyczami nauki o człowieku i doświadczeniem. Pogląd publicystyki polskiej na metodę pracy politycznej, na jej zadania i tajemnice wnętrza polskiego kształcił się przez głębokie współżycie z narodem w jego procesie wytwarzania cywilizacji. Do poznania duszy człowieka (bo o niego chodzi) dociera publicysta wszystkiemi drogami wiedzy i przez intuicję, która dana jest ludziom współpracującym z życiem środowiska.

Nie brak w Polsce publicystyki. Rozwój myśli nacjonalistycznej, która jak soczewka skupia w sobie sens życia narodu, jest wiernym wyrazem duchowego życia narodu. Nacjonalizm polski — nie trzeba ne to kompleksu wyższości, żeby to utrzymywać — lepiej zrozumiał się z duchem narodu niż jakikolwiek inny nacjonalizm. Zrozumienie to i wpływ wywierany są wynikiem szczerego zespalania się z życiem przez ideę. Ona jest odkrywcą prawd i pociąga ku czynom.

Weźmy dla przykładu jeden z motywów twórczych państwa narodowego — Lud. Z iluż stron różnemi czasy — odpowiednio do swego stadium rozwojowego — ten motyw był podejmowany przez publicystów, poetów, badaczy. Zawsze łączył się w gruncie rzeczy z poczuciem nacjonalnem osobowości narodowej. Od lat 50 traktowany syntetycznie jako podstawa budowy narodowej i rezerwoar sił żywotnych Polski. stał się zagadnieniem centralnem bytu naszego.

— — — — — — — — — — — —

Weźmy do ręki wydaną teraz w Poznaniu broszurę Karola Stojanowskiego „Chłop a państwo narodowe”. Bezpretensionalny ten zbiór szkiców młodego uczonego antropologa, żywo odczuwającego tętno życia i śledzącego rozwój jego myśli, jest ostatnim wyrazem tego, co parę pokoleń od 50 lat wypracowało w ideologii ludu. Dla czego sprawa ta tylu studjów wymaga? Dla tego, że nie jest sprawą mechanizmu, lecz organiczną. Wszystko w organizmie narodowym z nią się wiąże.

Pierwsze z brzegu zdanie Stojanowskiego brzmi: „Dzisiejsza polska sytuacja wewnętrzno-polityczna bardzo przypomina sytuację za czasów Łokietka”. Odrazu budzi się w nas obraz, rozłożony na stulecia tego, co jeszcze teraz się odbywa, mianowicie zbierania ziem pod berło cywilizacji polskiej, polonizowania miast jako centrów tej cywilizacji, jednem słowem zcalania ciała i ducha narodowego. Wtedy żywioł polski wywalczał w miastach niezależność od inwazji cywilizacji nie-

mieckiej, teraz od panowania żydowskiego. Chłopi stoją pod murami miast, rozpręża się wieś, a jest to jednoznaczne z nabrzmiewaniem świadomości narodowej tendencją nacjonalistyczną. W ludzie mamy źródło swej żywotności.

Chłopi szturmują do miast. Nie pomogła dywersja reformy rolnej, która miała zahipnotyzować chłopa. Miała ona na celu zmniejszenie naporu na miasta przez wypompowanie ze wsi oszczędności. Co zdziałała parcelacja w tym celu? Oto według urzędowej statystyki od r. 1919 do r. 1934 rozparcelowano większej własności około 2 miljonów hektarów ziemi. Tanio licząc po tysiąc złotych za hektar, chłop pozbył się bajońskich sum, które inaczej zużyte byłyby na podbój miast, na powiększenie wytwórczości poza rolnictwem.

„Pieniądze zaś, które otrzymali ziemianie, nastraszeni polskim radykalizmem, poukrywali w dużej mierze w zagranicznych bankach. Oczywiście skutek tego, zrozumiałego zresztą postępowania jest taki, że w Polsce cierpimy na ciasnotę pieniężną, a nawet te ziemiańskie pieniądze, pochodzące z parcelacji, rozkradają częściowo niebieskie ptaki zpod znaku Stawiskiego. Pomijam to, że na skutek reformy rolnej zdezorganizowaliśmy sobie bardzo gruntownie wielkie rolnictwo oraz zmniejszyliśmy wcale ładnie ilość polskiego elementu na kresach wschodnich pewnego pod względem narodowym i państwowym. W ogólnym tedy bilansie reforma rolna dokonała u nas dwóch niszczących dzieł. Rozbiła i zniszczyła naszą warstwę ziemiańską i wypompowała wszystkie możliwe zasoby i oszczędności z chłopskiej kieszeni, ratując natomiast znakomicie pozycję żydów w naszych miastach"

Oto jedno tylko — na próbę wzięte — z wejrzeń publicysty narodowego (dodajmy pochodzącego z ludu). Jakże się to wszystko wiąże i jaką troską przejmować musi tych, którzy tę rzeczywistość organiczną przenikać umieją! Spokojni są ci, którzy nic nie rozumieją, lub sumienia nie mają; sprawiają zniszczenie, powolni wskazaniom masonerii i żydów!

W skromnej książeczce Stojanowskiego znajdziemy szereg cały takich aspektów. Za jeden z najpiękniejszych uważam wykład o naturze bezkrwawej rewolucji narodowej, dźwigającej cały ustrój w górę w przeciwieństwie do rowolucji socjalnej, uczącej ludzi szukania szczęścia na czworakach.

„Rewolucja tedy mechaniczna jest jak pożar, niszczy ona i pali jak żywioł. Rewolucjoniści tego typu obiecują jedynie, że na zgliszczach coś wybudują. Rewolucja organiczna, a zatem i narodowa podobna jest wybuchowi nieuchronnemu wiosny, przychodzącemu w odpowiednim czasie. Wybuch ten, jakkolwiek zmienia i niszczy stary porządek rzeczy, to jednak sam jako taki niesie za sobą nowe, niezwalczone, bujne życie.

„Z głębszego ujęcia samego pojęcia rewolucji wypływają pewne, zupełnie praktyczne wnioski. Za najważniejszy z nich uważam przeświadczenie, że o powodzeniu rewolucji narodowej nie przesądza wcale brak oddziałów szturmowców, mundurów i sztandarów, parad i defilad, terroru i t.p. akcesoriów rewolucyjnych. Najważniejszą bowiem rzeczą jest przepojenie całego narodu ideą narodową. Rewolucja bowiem więcej się rozgrywa w duszy poszczególnego człowieka, aniżeli na ulicy czy też na barykadach. Przecież biorąc rzecz ze stanowiska świeckiego i ludzkiego, rozwój chrześcijaństwa nie był niczem innem, jak istotnie wielką rewolucją i to nietylko w sensie religijnym, ale także w sensie społeczno-politycznym...

„Jest wielkiem nieszczęściem dla Polski rozpanoszenie się w niej właśnie pojęcia i definicji rewolucji w stylu mechanicznym, a właściwie jakobińsko - bolszewickim"...

— — — — — — — — — — — — — —

Wróćmy do pojęcia publicystyki, która jest właściwym tematem dzisiejszego mego pisania. Publicystyka w książkach, artykułach, orędziach, deklaracjach należy z formy tylko do literatury, z istoty swej jest działaniem, należy do kategorii czynów, zmierzających do wytwarzania przemian, stwarzania rzeczy nowych, powiedzmy — do wywołania jakiejś rewolucji. O to mi właśnie chodziło i teraz, jak i w wielu poprzednich wystąpieniach, że do duszy narodu publicysta czy działacz przystępować musi nie z aparatem technicznym w celu dokonywania przemian mechanicznie, lecz z całem poczuciem humanistycznem roli, jaką spełnia w życiu idea.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Prof. Ignacy Chrzanowski wyjedzie wkrótce do Rzymu, jako delegat Polskiej Akademii Umiejętności, w celu wygłoszenia tam odczytu. Mówić będzie na temat „Krasiński i Gioberti".

Odczyt ten czcigodny autor obiecał wydrukować w „Myśli Narodowej".

Projektowany jest też wyjazd prof. Chrzanowskiego do Paryża, gdzie ma wygłosić szereg prelekcyj o Krasińskim.

RUCH WYDAWNICZY

Zarząd miejski w Poznaniu, wziąwszy na siebie rolę opiekuna pamiątek po Janie Kasprowiczu, wywiązuje się ze swego zadania z całym pietyzmem, przynoszącym zaszczyt kulturze tradycyj samorządowych tego miasta. Jak wiadomo zarząd miasta ufundował muzeum, gdzie zbierane są pamiątki i materiały historyczne do życia poety. Podstawą tych zbiorów jest biblioteka Kasprowicza, przeniesiona z Harendy.

Obecnie nakładem miasta wyszedł duży tom pod tyt.: „Rocznik Kasprowiczowski" (Poznań 1936. S. 266). Na całość składają się trzy rozprawy, rubryka materiałów, recenzje z prac o Kasprowiczu i kronika, ale bodaj najcenniejszą częścią tego tomu są listy poety z r. 1892 do narzeczonej (Jadwigi Gąsowskiej) z przedmową St. Kołaczkowskiego. Listy obejmują 80 stron książki. Jest to ciekawy materiał do psychologii poety. zawiera też niemało przyczynków do dziejów jego twórczości.

Drugą wartościową pracą jest bibliografia, sporządzona bardzo starannie przez St. Waszaka, uzupełniająca dawniejszą pracę Kaz. Czachowskiego (1929). Jak żywo zajmowano się Kasprowiczem, świadczy objętość materiału, który zajął zgórą 50 stron druku.

P. Waszak opracował również dla „Rocznika" bardzo szczegółową kronikę wielkopolską „Kult J. K. w Wielkopolsce". Należałoby potem rozszerzyć tę kronikę na cały kraj, K—cz bowiem nie był własnością regionalną.

Tenże autor odnalazł w „Gońcu Wielkopolskim" z grudnia 1899 r. nieznany wydaniom zbiorowym wiersz K—cza p. t. „Przodownica" napisany na prośbę redakcji zakładanego wówczas w Krakowie pisemka pod tym właśnie tytułem.

Do cenniejszych prac w tym tomie należy rozprawa M. Suchockiego „Stosunek K—cza do Boga", R. Pollaka „K—cz a Włosi", J. Bergera „Z nieznanych przekładów K—cza", J. Wyplera „K—cz a Śląsk" i in.

Wydanie bardzo staranne.

*

W nr. 9, w notatce informującej o wyjściu tomu „Listów S. Goszczyńskiego" podano omyłkowo, że wydawca, St. Pigoń, „wydał w Akademii trzy wielkie tomy pamiętników T. T. Jeża", Powinno być: „wydał świeżo dwa nowe tomy Dzieł W. Orkana". Pamiętnik trzytomowy T. T. Jeża p. t. „Od kolebki przez życie" wydał w Akademii dr. Adam Lewak.

ZE ŚWIATA SZTUKI

SALON MALARSKI

Otwarty w IPsie „Salon Malarski" powstał w inny sposób, niż dotychczasowe tego rodzaju pokazy dzieł plastyki. Jak już sama nazwa wskazuje, gromadzi on tylko prace malarskie, gdyż dla grafiki i rzeźby przeznaczono tym razem oddzielne wystawy. Ale nie to jest najważniejsze. Ważniejszem jest, iż przy okazji tego pokazu spróbowano poddać rewizji sposoby organizowania Salonów, usiłując je zastąpić innemi.

Czy nowe te metody okazały się słuszne i jakie przyniosły wyniki — o tem właśnie chcę mówić.

Z racji dorocznych Salonów Zachęty, a także IPsu, niejednokrotnie pisałem w „Myśli" o ujemnych stosunkach tego rodzaju imprez i o tem, co w nich nie wytrzymuje już próby czasu. Narzekania podobne — pisze dr. Treter. komisarz tej wystawy, — datują nieledwie od czasu powstania „Salonów" i „stały się z czasem niemal powszechnym i stałym w świecie artystycznym obiawem". Obecny „Malarski Salon" powstał drogą stopniowej eliminacji i komisarz wystawy, w przedmowie do katalogu, szczegółowo wyjaśnia sposoby jego organizowania.

Jak wiadomo, w swoim czasie odbyły się oddzielne Salony dwu największych ugrupowań artystycznych: „Bloku" i „Związku Zawodowego" (pisałem o tem obszernie w „Myśli„ str. 219, rok 1936). Każda z tych grup miała swoje własne jury. „Salon Malarski" uwzględnił przedewszystkiem artystów nagrodzonych i wyróżnionych na tych dwu pokazach, a pozatem plastyków, zaproszonych przez komisarza Salonu dodatkowo. „Salon Malarski" nie posiadał jury. Zastąpienie wieloosobowej komisji jury osobą jednego Komisarza miało w sobie pewne akcenty dyktatorskie. Oczywiście Komisarz wystawy, jako wykonawca nowego systemu musiał być jego zwolennikiem, dlatego też ciekawem będzie dla nas poznać jego argumenty, przeciwko dawnym metodom wymierzone, a także receptę jego „balsamu" uzdrawiającego. Główne zło upatruje dr. Treter w jury: „wieloosobowe jury decydują drogą głosowania. Kompromis staje się zwykle rzeczą konieczną... przechodzi przez jury względnie najłatwiej artystyczna miernota... „wszystko jedno: niezłe, niech idzie"... Przypadek zazwyczaj decyduje o wyniku głosowania. Moment, zmęczenie, czasem dowcipna lub zgryźliwa czyjaś uwaga — waży na szali. Nieraz dochodzi do targu i porozumienia: „głosuj ty za moim kandydatem, to ja będę głosował za twoim. Inaczej ja ci twego nie puszczę. Zaagituję!".

Powyższe, zresztą słuszne uwagi, godzą raczej w sędziów, jurorów, a nie w instytucję sądu — jury; świadczą źle o ludziach, a nie o wybranej przez nich metodzie. Że ktoś jest zmęczony, albo lubi szacherki, czy to dowód przeciwko jury. Jeśli minister jest zły, zmienia się ministra, ale zostawia ministerstwo.

Dalej pisze dr. Treter, że wzajemne porozumienie się w sprawach sztuki jest, zwłaszcza dla samych plastyków, niełatwe. I przytacza: Meissonier wolał Rembrandta od Tycjana i Veronesa, a Ingres zestawienie Rembrandta z Rafaelem uważał za bluźnierstwo. Delacroix zaś był odmiennego zdania, gdyż powiadał: „może przyszłość jeszcze odkryje, że Rembrandt jest o wiele większym malarzem od Rafaela".

Porozumiejmy się. Ci artyści wyrażali w ten sposób swoje najbardziej subiektywne, prywatne, że się tak wyrażą, upodobania. I dziś niejeden artysta posiada równie krańcowe, indywidualne, sądy o wielu najznakomitszych plastykach. Występując jednak w charakterze oficjalnym, jako sędzia w jury, potrafi nieraz zastosować inne, oparte na bardziej obiektywnych przesłankach, kryteria. Mogę mówić: nie znoszę tej jatki Rubensa i w tem powiedzeniu daję wyraz swym osobistym upodobaniom; czy to dowód jednak, iż w razie potrzeby nie umiałbym znaleźć odpowiedniej miary dla oceny dzieł tego słynnego malarza? Trzeba odróżniać te dwie rzeczy. Zresztą zgódźmy się na chwilę z dr. Treterem, że jury to metoda funta kłaków nie warta, czy sądzi on, iż przy „Salonie Malarskim" naprawdę odbyło się bez jury? Mieliśmy tu do czynienia z potrójnem sitem do przesiewania prac. Pierwsze i drugie: to oba jury eliminacyjnych wystaw przygotowawczych, „Bloku" i „Związku". Na „Salon Malarski" zapraszano artystów według sporządzonej listy zaproszeń. Wybierano w tym wypadku nie obrazy, a nazwiska, co postaci rzeczy nie zmienia, bo również się łączy z momentami sądu i decyzji, jak w jury.

Głosowanie na nazwiska, a nie obrazy może być (i okazało się!) bardziej od zwykłego jury niebezpieczne, bo nieudany obraz dobrego artysty można zawsze odrzucić, a co zrobić z malarzem, gdy okaże się, że zawiódł, a już go się zaprosiło? Wypraszać z powrotem — głupio. Bo malarz może powiedzieć, nie bez słuszności: trzeba się było dobrze namyślić, nim-eście zaprosili, a teraz nie róbcie ze mnie wariata. System nazwisk nieoficjalny, a nie obrazów, stosuje od lat Zachęta, z jakim skutkiem — wiadomo.

Zresztą dla próby wyjścia z kręgu dotychczasowych, istotnie niezadawalniających, form organizacyjnych można się było zgodzić raz i na dyktaturę. Niestety, promowanemu na dyktatora Salonu, dr. Treterowi zbrakło odwagi. Pod naciskiem rozmaitych grup i osób, którym nie potrafił się przeciwstawić, decydował się na ciągłe kompromisy, na ciągłe uzupełnianie pierwotnej listy wystawców, nowemi nazwiskami. Niema rzeczy bardziej żałosnej, niż parodia dyktatury. I bardziej demoralizującej. Nie wolno było zgłaszać się samemu na wystawę. Komisarz sam miał decydować o zaproszeniach. I w rezultacie kto się pchał, ten się i przepchał

A przecież pomysł, w pierwotnem swem założeniu, nie był taki najgorszy. Komisarz zwiedzał pracownie malarskie w całej Polsce i w każdym wypadku, razem z artystą, miał zdecydować, która z jego prac, jako najlepsza, powinna pójść na „Salon". Oczywiście, gdy artysta nie rozporządzał w danej chwili niczem godniejszem uwagi, należało go przeprosić i wyjść. Zapewne jednak dr. Tretorowi było nijako wychodzić tak, z pustemi rękoma (może nie miał odwagi, a może gotowa już lista wystawców przesądzała o wszystkiem?...) dość, że wielu malarzy ma na wystawie dzieła gorsze, niż zazwyczaj, a sama wystawa nie należy do najciekawszych, z ostatnio widzianych.

Wolno było każdemu z wystawiających wybrać prace z okresu ostatnich 5-ciu lat, a tak się jakoś złożyło, że u wielu z nich lepsze dzieła widzieliśmy na rozmaitych wystawach poprzednich. „Salon Malarski" miał zgromadzić materiał przygotowawczy do udziału naszego w wystawie Paryskiej „Sztuki i Techniki". Ponieważ nie pokazał dzieł kilku b. wybitnych artystów, a innych zaprezentował nieraz nie z najlepszej strony, oczekiwać należy obfitego uzupełnienia go pracami z poza wystawy.

Na zakończenie należałoby omówić wystawione obrazy. Sprawozdanie z Salonu zaliczyć trzeba do najmniej wdzięcznych zadań krytyka. Zdawkowe przymiotniki pod adresem każdego z wystawców nie zadawalają mnie, a o syntetyczny rzut oka na całość nie warto się kusić, bo oblicze tej

całości, jak się okazało, jest rzeczą przypadku. Wobec tego, jako artysta, a nie krytyk, powiem poprostu, co mi się najbardziej podobało i ci, co mają do mnie zaufanie, niech mi wierzą na słowo. A więc są to obrazy: Kowarskiego, Czapskiego, Kocha, Kokoszki, (pejzaż), Gotarda, Kubickiego, Potworowskiego, Roszkowskiej i Słomczyńskiego.

Na marginesie — uwaga. Na „Salon" dostać się było trudno. Rozmaici malarze, nieraz na próżno, o to zabiegali. Inni, wybitni, nie wzięli udziału. Ale panowie Blonder i Fenerring są. P. Fenerring był nam dotychczas znany z jednej, b. kiepskiej wystawki. Co do p. Blondera, zaglądam do katalogu, by się upewnić, jak mu na imię. A może to aryjczyk? Pan Blonder wabi się: Sasza. Maluje znacznie lepiej od swege ziomka. Mimo to zapytuję: czy Polska poniesie wielką stratę, jeśli p. Sasza Blonder nie zechce nas reprezentować w Paryżu?

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„SPRZYSIĘŻENIE FIESKA"

Utarło się, że teatr „Narodowy" zawsze ozdabia swój program jakąś sztuką Szyllera — a że wyczerpano już rzeczy lepsze, a nie wiem czemu stroni się od „Wallensteina", więc wystawiono teraz „Fieska". Sądzę, że skusiły do tego T. K. K. T pewne analogie historyczne i pewne naświetlenia wiecznie żywych problemów władztwa ludu czy jednostki, jakie mogą uwagę publiczności zwrócić na tę „tragedię republikańską". Sztuka ta przytem dla panów z T. K. K. T. była jeszcze o tyle dobra, że można ją sobie rozmaicie tłumaczyć; dla każdego coś się w niej znajdzie i gdy jedni oklaskiwać będą wspaniałą bajkę o lwie jaką Lavague opowiada ludowi, to inni to zrobią po tyradzie Verriny, czy też po oświadczeniach Dorii, tak katońsko gromiącego Gianottina.

Gdyby jednak iść za myślą i intencją autora trzebaby oklaskiwać jedynie miejsca republikańskie, — entuzjazmować się nie ambicjuszem Fieskiem, a surowym i pełnym rzymskiej cnoty Verriną. On w końcowej scenie strąca Fieskę w przepaść i on właściwie jest bohaterem tragedii. Zachodzi tu coś podobnego jak z „Juliuszem Cezarem" Szekspira, gdzie też tytuł myli. Tytuł maskuje prawdziwego bohatera i istotne sympatie autora.

Tylko, że „Juliusz Cezar" stoi bez porównania wyżej od „Sprzysiężenia Fieska" i jako dramat i jako dzieło sztuki. „Fiesko" to rzecz raczej słabsza w dorobku Szyllera (stale używam tej spolszczonej pisowni, by nie nasuwać sugestii pokrewieństwa wielkiego Fryderyka z mniej wielkim Leonem) i widowni nie uderzy w nim żadne wrażające się w pamięć stwierdzenie (wyjątek to chyba owo gromkie: „Pamiętajcie o lwie!" zamykające scenę bajki) i nie usłyszy ona tych przemądrych słów Kasjusza, że:

„Nie gwiazdy winne mój Brutusie,
Żeśmy w niewoli, lecz my sami winni".

a sztuka cała nie zakończy się wspaniałym, niezapomnianym akordem.

„Ze wszystkich Rzymian ten był najzacniejszy..."

Ale w tem wszystkiem może już wina nie samego tylko wejmarskiego poety, co i przedewszystkiem tematu. Gdzież Fieskowi do Cezara! i wogóle mało dramatyczne, mało ściślej biorąc, wielkie na miarę tragedii — sprzysiężenie, by jednego księcia—złego zastąpić drugim—dobrym. Nie budzi też dumny i nieszczery Lavague naszej sympatii, ani też nie budzi jej zbyt surowy, zbyt pobieżnie naszkicowany Verrine. Całą swoją sympatię widz skupia na hrabinie Lavague, która ujmuje swoją tak całkowicie oddaną miłością i cichą dostojnością swego bólu. To stanowczo jedna z najlepszych postaci niewieścich Szyllera, a najlepsza bezwątpienia z całej tragedii.

Wystawiono „Sprzysiężenie Fieska" bardzo starannie i dekoracje obmyślono ładnie. Źle tylko wypadły dachy i wieżyce Genui, które raczej wyglądały na okryte śniegiem, jak na skąpane w blasku księżyca. To też loggie pałacu Lavaguów wyszły najkorzystniej, gdy kotara zakryła ten tak mało włoski widok. Sceny zbiorowe balów i maskarad miały w sobie coś z czasu renesansowego i układały się w żywe obrazy, jak i końcowe sceny walki, efektownie wygrane obrotową maszynerią.

Grano dobrze, choć nikt oczywiście nie dorównał Węgrzynowi. Kuncewiczówna w swojej bardzo trudnej roli Leonory nie zawsze była na wysokości zadania; zwłaszcza jej dykcja w scenach z Węgrzynem, zbyt się różniła od doskonałej tego urodzonego interpretatora ról patetycznych od „Don Juana" do „Irydiona" — wyglądała zato ona bardzo wdzięcznie. Panią Pancewicz-Leszczyńską (hr. Imperiali) ubrano całkiem niepotrzebnie w osiemnastowieczny kapelusz á la Marie Antoinette. Zresztą wszystko wypadło dobrze i widowisko wyszło ładne, choć nieprzejmujące i nieporywające.

F. P.

MUZYKA

Teatr Wielki.—A więc mamy w Operze premierę. Balet Ryszarda Straussa „Legenda o Józefie". Co skłoniło dyrekcję do wystawienia właśnie tego utworu, najsłabiej może i niesprawiedliwie poniekąd reprezentującego kompozytora? Spróbuję dać odpowiedź. Po pierwsze zrozumiała i zasługująca na pochwałę chęć pokazania baletu. Balet warszawski jako zespół taneczny dobre ma tradycje, jako zaś rodzaj sztuki zawsze przypominał szanownej budowli z Placu Teatralnego, że jest właśnie gmachem... teatralnym. Stąd kiedyś powodzenie takiego „Pana Twardowskiego" Różyckiego, mimo, iż strona muzyczna nie przedstawiała tam przecież jakichś szczególnych wartości. „Pan Twardowski" zresztą ma powrócić jeszcze na scenę w nowej oprawie. Zobaczymy.

A więc balet, widowisko, teatr. Tylko dlaczego akurat „Legenda o Józefie"? Pomijam już to, iż jest ona nie przejawem inwencji, ale raczej robotą, zamówieniem wykonywanem bez szczególnej chęci, pasji tworzenia. Wprawdzie Strauss zawsze posiada swój poziom, ale środki, którymi go osiągnął tym razem winny przedewszystkiem skłonić Operę do zaniechania realizacji na swojej scenie utworu. Ów nawrót nagły do zwiększonej orkiestry, która jedynie w ramach szeroko, bardzo szeroko zakreślonych przez kompozytora może w pełni oddać zamierzony efekt, stwarza chyba przed każdem kierownictwem operowem trudności, które nie każde kierownictwo zdolne jest pokonać.

Dochodzimy wreszcie do wniosku, że punktem wyjścia, tem co zdecydowało, była postać nowego kierownika baletu warszawskiego Saschy Leontiewa, który rolę Józefa zalicza do swoich ról popisowych.

Niechaj nikogo nie wprowadza w błąd imię rosyjskie (pisane przez snobizm po niemiecku), oraz nazwisko również rosyjskie. Od sławnych czasów diagilewskiego baletu rosyjskiego, należało być Rosjaninem, jeśli się było tancerzem, choćby się nie miało w sobie ani jednej kropli krwi rosyjskiej. Sascha Leontiew ze względów ideowych, jak to się

dyskretnie mówi, opuścił Niemcy, ściślej — Trzecią Rzeszę. Rozumiemy co to znaczy. Dzisiaj został kierownikiem baletu „Narodowej Sceny Operowej" — jak siebie nazywa Opera stołeczna. Ale nawet pominę te względy. Z najbardziej objektywnego stanowiska trzeba stwierdzić, iż Leontiew nie zdał egzaminu zarówno jako odtwórca tytułowej roli, jak i twórca tanecznego układu „Schubertiany" z muzyką do „Rozamundy" w opracowaniu R. Hegera. Wyobrażam sobie, że 17-letni Leonid Miassin odtwarzający Józefa podczas prapremiery paryskiej był świetny bo w charakterze. Dojrzały (niewątpliwie) mężczyzna Leontiew nie dał obrazu napastowanej naiwności, nie dał chłopięcego wdzięku, mało — nie wygrał wcale swojej roli. I to jest zarzut najcięższy. „...Walka o nowego słuchacza i widza i służba Sztuce i tylko Sztuce"—słowa programu. Pocóż w takim razie sprowadzać miernoty? Opinia gwiazdy? Może. Ale czas gasi światło gwiazd. Zwłaszcza tanecznych.

Sabina Szatkowska w roli żony Putyfara oddała swą rolę w sposób umiejętny i wnikliwy. Może była tylko zamało zmysłową. Jeśli scenie uwodzenia zarzucić musimy brak owego wyrafinowania, jakie tkwi już w samym obrazie podawanym przez legendę a także w smaku czasu, którego przejawem był Strauss, to zarzutem obarczamy przedewszystkiem postać Leontiewa, za mało chłopięcą — jak już raz zauważyłem, za mało naiwną. Barbara Karczmarewiczówna wykonała partię Sulamity, wkładając w nią swą umiejętność znaną i niepospolitą.

Stronę malarską oddano w ręce Jadwigi Umińskiej, która umiała wydobyć efekty monumentalne, aczkolwiek pojęła swe zadanie nieco zbyt naturalistycznie. W naturalistycznem ujęciu tkwi ów tak dla opery charakterystyczny pierwiastek tradycji. Nie wiem doprawdy dlaczego opera ma być koniecznie synonimem tradycji... Właśnie koniecznie tradycji. I dlaczego takich? Tu tkwi jakieś wielkie nieporozumienie, za które płaci sztuka operowa. Drabik kiedyś mawiał, że teatr jest bukietem, którego piękno składa się z kilku kwiatów razem zebranych i doskonale zestrojonych. Jeden kwiat to treść literacka utworu, druga malarska, trzecia aktorska... Dlaczego bukiet najpełniejszy, bo zawierający muzykę, ma być mniej udany, mniej ładny? Może być przecież jeszcze ładniejszy. Musi być. Ma przecież potemu najwięcej warunków. Tylko trzeba się zdobyć koniecznie na zerwanie z rutyną. Stale to powtarzam a radbym już raz wreszcie przestać. Niestety, owo „wreszcie" nie odemnie zależy.

*

Ostatnie dni dały szczególnie obficie zakosztować młodej muzyki polskiej. Objaw niezwykle radosny, ale... Ale nie cieszmy się liczbą wykonywanych utworów, zbadajmy ich jakość.

Pozycją bezspornie dodatnią był koncert na dwa fortepiany Romana Maciejewskiego, wykonany na ostatnim koncercie symfonicznym w sali kina „Roma". Młody kompozytor, na którego z taką nadzieją patrzymy, udowodnił, że nie zawodzi, że w sposób umiejętny i dojrzały korzysta z atmosfery muzyki współczesnej, zdaje sobie sprawę z jej stadia rozwojowego, że nie ulega nieprzemyślanym, niepogłębionym hasłom i programom. (Czego nie możemy powiedzieć, niestety, o Maklakiewiczu). Znajomość poprzednich utworów młodego kompozytora, zestawienie ich z wykonanym w „Romie" przez niego koncertem zezwala mi na wystawienie świadectwa prawdziwej kultury muzycznej oraz inteligencji. Nawrot do rygoryzmu, który wielu zadziwił, a nawet zaskoczył, jest dla mnie tak zrozumiały bo wprost konieczny.

Jan Ebier w „Suicie góralskiej" (Filharmonia, piątek 26 lutego) nie powiedział nic nowego, a nawet, trzeba zauważyć, inni na ten temat już lepiej mówili. Folklor góralski odegrał we współczesnej muzyce polskiej dużą rolę, nie trzeba go wszakże nadużywać, zwłaszcza jeśli się nie wnos nowej koncepcji. IV-ta Symfonia Stefana Paradowskiego nakazuje nam przestrzec jej autora przed uleganiem zbyt płytkim efektom, przed pogonią za nimi. Każe nam również przestrzec przed niebezpieczeństwem grafomanii, wrogiem najzacieklejszym głęboko pojętej sztuki, co to nie może dać się przejawić bez skupienia twórczego. Poza tem — czyby nie należało się nieco przyjrzeć biegowi linii rozwojowej muzyki dnia dzisiejszego.

Powracam do sprawy najbardziej przykrej. Do Maklakiewicza. Pisałem kiedyś na łamach „Myśli", gdy miałem możność usłyszenia jego tanga symfonicznego, że nie rozumiem owego spadku przedziwnego, u autora „Święty Boże", właśnie od czasu napisania „Święty Boże" czy koncertu wiolonczelowego. I z całą dozą najlepszej woli „Tango" zaliczyłem na karb wyjątków. Zaniepokoiły mnie wówczas również i próby układu kolęd, Wcale... banalne. Również skłonny byłem zapisać je na karb wyjątków. (Doza dobrej woli zwiększa się), ale „Żałobne werble" nakazują mi stwierdzić, że ewolucja Maklakiewicza przybrała kierunek niepokojący, a pochyła spadku powiększyła swój kąt.

Napisanie „Żałobnych werbli" łączy się tak dobrze z przejęciem haseł narodowych przez ludzi, którzy nie bardzo potrafili wniknąć w ich sens głęboki. Nie zdaje sobie dobrze sprawy z istoty sztuki narodowej Maklakiewicz, ale głosi jej zasady i wprowadza w życie. Skutek niespodziewany. Świetny, posiadający umiejętność pisania Maklakiewicz pisze wiązanki rodzimych melodyj w ciężkim sosie frazeologicznego patosu! Rezultatem—krzywda, duża krzywda zadana słusznym postulatom muzyki narodowej, jak i tej drugiej intencji autora. Porównajmy tylko „Wolność tragiczną" Wierzyńskiego i rozbrajające szczerością wiersze Iłłakowiczówny. „Żałobne werble" na tym tle to doprawdy rasowa kołonieczczyzna.

W. NARUSZ

ZMARLI

Ś. P. HENRYK ROSSMAN

CHOROBA i śmierć ś. p. Henryka Rossmana, młodego adwokata warszawskiego poruszyła żywo szerokie koła społeczeństwa, co wyraziło się w b. licznym udziale publiczności w obrzędzie pogrzebowym.

Ś. p. Henryk Rossman, urodzony w Warszawie w roku 1896, w listopadzie 1918 r. przerwał studia na Politechnice, aby stanąć w szeregach formującego się wojska. Brał udział w kampanii polsko-ukraińskiej i polsko-bolszewickiej. Po wojnie wstąpił na wydział prawny Uniw. poznańskiego, a po ukończeniu studiów w r. 1924 rozpoczął z powodzeniem praktykę adwokacką.

Należał w uniwersytecie i potem do najczynniejszych organizatorów młodzieży akademickiej w obozie narodowym, w Straży Narodowej, a potem w Obozie Wielkiej Polski. Pozostawał wtedy w bliższych stosunkach z Romanem Dmowskim, oddany sercem i przekonaniami swemu przewódcy.

W r. 1934 wespół z najbliższymi przyjaciółmi dał inicjatywę wytworzenia grupy narodowo-radykalnej i tutaj rozwinął działalność samodzielną. W czerwcu tegoż roku był aresztowany i osadzony w Berezie Kartuskiej. Kilkomiesięczny pobyt w obozie izolacyjnym nadwątlił jego zdrowie. Zmarł po ciężkich cierpieniach.

Jako utalentowany prawnik zdobył szybko pozycję wybitną w adwokaturze, w kole zaś najbliższem, którego był przywódcą politycznym w latach ostatnich, cieszył się autorytetem i miłością. Reprezentował niepospolite wartości jako aktywny i odważny człowiek, zdolny do pracy ofiarnej na rzecz Ojczyzny. Obóz narodowy utracił w nim siłę wybitną. Osierocił żonę i dwoje drobnych dzieci.

POKŁOSIE

PODOBIEŃSTWA I RÓŻNICE

W JEDNEJ z wydanych przed paru laty książek o Rosji sowieckiej autor, dziennikarz francuski podaje swe wrażenia z obserwacji „ogonków" w Moskwie. Widzi więc w jednym miejscu mizernie wyglądający, licho ubrany tłum obywateli sowieckich, ustawiony w długi ogon i cierpliwie wyczekujący dostania się do sklepu z przedmiotami pierwszej potrzeby, a cierpliwość jest tym bardziej uderzająca, że przecież każdy z praktyki wie, że zapas towarów bardzo rzadko, jeżeli nie nigdy, odpowiada zapotrzebowaniu i na otrzymanie tego czego potrzebują mogą liczyć tylko ci, co wcześniej się dostaną przed ladę. A jednocześnie w pobliżu widać sklep „Torgsinu", gdzie zaopatrują się cudzoziemcy i osoby posiadające obce waluty. Ogonków żadnych tam niema, sklep jest zaopatrzony obficie we wszystko i dobrze ubrani cudzoziemcy na oczach wychudzonych autochtonów zaopatrują się z największą łatwością we wszystko, czego zapragną, nie wyłączając smakołyków, o których obywatel sowiecki nawet już nie marzy.

Widok ten wprawia Francuza w zdumienie, nie ma bowiem żadnej wątpliwości co do tego, jakby to wyglądało w Paryżu, czy innym mieście francuskim. Nie może sobie wyobrazić okoliczności, które mogłyby skłonić Francuzów do tolerowania podobnego uprzywilejowania jednych, a poniżenia drugich, właściwych synów kraju. Obrazek taki, gdyby był nawet przez kogoś zainscenizowany, miałby żywot bardzo krótki i skończyłby się natychmiastowym niemal zdemolowaniem uprzywilejowanego sklepu.

Te spostrzeżenia francuskiego dziennikarza przypominają się przy czytaniu przed paru dniami wiadomości, drobnej zresztą, o wypadkach w mieście St. Nazaire. Wybuchł tam, jak obecnie jest modne we Francji, strajk piekarzy i w mieście zabrakło chleba. Z pomocą przyszło wojsko i dostarczyło pewnej ilości pieczywa dla mieszkańców, ale jak się zdaje za mało, tak, że przed miejscem sprzedaży wytworzył się „ogonek". Nie trwał jednak długo, zniecierpliwione marudzeniem gosposie francuskie ruszyły niebawem do szturmu i zdobywszy lokal w mgnieniu oka rozdzieliły zapasy między siebie.

Drobny to wypadek, jednak myślę, że nie należy takich właśnie odruchów pozostawiać bez uwagi, gdy się ocenia rozwój wypadków we Francji i szuka się z niepokojem podobieństw z okresem kiereńszczyzny w Rosji.

W czasie całego przebiegu rewolucji rosyjskiej nie przypominam sobie ani jednego wypadku buntu w „ogonku". A przecież „ogonek" stał się tam pewnego rodzaju instytucją, bez której ani rusz. Ustawiały się kolejki już od poprzedniego dnia w nocy i trwały cierpliwie aż do chwili, kiedy na drugi dzień koło południa oświadczono czekającym, że już nic nie ma. Do tego treningu kolejkowego dołączyła się później propaganda, wmawiająca w ludzi bezustanku, że waluty konieczne są do wzniesienia gmachu ustroju socjalistycznego i ostatecznie wytworzył się nastrój, który tak uderzył Francuza, pozwalający zwycięskiemu proletariatowi znosić upokorzenia wobec cudzoziemskich burżujów.

Czy to jest możliwe gdzieindziej, na zachodzie? Można wątpić o tem i to nie tylko o ile chodzi o cierpliwość oczekiwania na chleb, ale również na całość przebudowy. Przecież cała Rosja stoi w ogonku już dwudziesty rok w oczekiwaniu na znośną egzystencję, a to możliwe jest tylko w kraju, który wyrobił sobie kult ogonka, w podłożu którego tkwi zasadnicza skłonność do nieróbstwa. W społeczeństwach, tak jak francuskie, wdrożonych od wieków do intensywnej pracy, reakcja na perspektywę oczekiwania bez końca musi być inna.

Dobrze jest mieć to na uwadze, bo jednak stosunki francuskie, a od ich układu zależy wiele w całej Europie, są niepokojące. Na razie rządy socjalistyczne robią tam to, co wszędzie: dezorganizują finanse państwa. Jest to całkiem naturalne gdy się pieczołowicie zajmuje tymi, co od państwa biorą, a przyciska do muru tych, co państwu dają. Takiego procederu nie mogła wytrzymać nawet solidna budowla angielska za rządów Mac Donalda.

Rząd Bluma ogłasza obecnie pauzę w reformach, trzeba nieco uspokoić burżujów i zebrać finansowy owoc z wystawy. Potem przyjdzie czas na dalsze „uspołecznienia" rozmaitych gałęzi produkcji, zapowiadane już na kongresie partii, a przewidywane połączenie się partii Bluma z komunistami jest bardzo prawdopodobne i znaczące.

Opozycja, która w ostatnich czasach jakby się ożywiła, nie wzbudza zaufania co do skuteczności walki z rewolucją. Są to ludzie i metody, które właśnie do dzisiejszego stanu doprowadziły. Tu trzeba czegoś innego, nowego, a to się jeszcze nie skrystalizowało, aczkolwiek nie ulega wątpliwości, że w społeczeństwie francuskim zachodzą zmiany głębokie.

Czy skrystalizowanie się programu narodowego przyjdzie na czas? Miejmy nadzieję, a niech nas krzepi inny, niż w Rosji stosunek do ogonków.

ARGUS

NA MARGINESIE

Tytuły nad artykułami w „Kur. Por." są obecnie bardzo literackie. W n-rze z dn. 1-go marca artykuł wstępny „Dzisiaj w sali Dekerta, w cieniu sztandarów cechowych rodzi się świadoma siła społeczna Polski".

Co się stało? Co za cud? Czytamy chciwie. Oto pokazuje się, że delegaci cechów tego dnia „w sali Dekerta w cieniu wielowiekowych sztandarów cechowych składają podpisy pod uroczystym akcesem do Obozu" pułk. Koca. Donosi o tem p. Horzelski.

Zapiszcie sobie: Myśl społeczna w Polsce urodziła się o godz. 12, 1 marca 1937 r.

*

— Niech mi pan wyjaśni: jedni piszą sukces, drudzy akces, inni znowu—eksces. Ja tego nie rozróżniam.

— Nie rozróżniaj pan nadal.

TREŚĆ:

O wspólny język *J. Gr.* — Ideał dziejowy dawnych Niemiec *Z. Załęskiego.* — Dla czego wygnano żydów z Francji? *A. Szumowskiego.* — Dzieje dziesięciolecia *Wł. Jabłonowskiego.* — Chłopie i robotniku *T. Dworaka.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Nauka i literatura. — Z pałacu sztuki *W. Podoskiego.* — Teatr *F. P.* — Muzyka *W. Narusza.* — Zmarli. — Pokłosie *Argusa.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM